



Wiesława Łapacz

część II z II

Sygnatura notacji: N1235

Data urodzenia: 17.07.1930 r.

Data nagrania: 14.03.2018 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Tomasz Sikorski

Czas nagrania: Część I: 43 min, część II: 52 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wiesława Łapacz: Cały czas od chwili wybuchu Powstania Warszawskiego przebywałam z rodziną na Marymoncie. Wybuchło Powstanie, pamiętam ten dzień. Byłam wtedy właśnie nad Wisłą, bo dla nas, dzieci Marymontu, byliśmy po prostu wiślane dzieci. I pływać uczyliśmy się nad Wisłą, i bawiliśmy się tam. I działo się to tak, że ponieważ Marymont to była zabudowa przeważnie drewniana, domy z ogródkami, działki takie rodzinne to były. Tam Niemcy w sam środek tego Marymontu raczej nie zagłębiali się. Bardzo dbali o łączność z Cytadelą do Bielan. Ale muszę najpierw powiedzieć, że tam pod samym Lasem Bielańskim była fabryka części samolotowych, tak zwana Błaszanka. Błaszanka. Tam robili śmigła, jakieś tam części i tam początkowo Powstańcy zajęli tę placówkę i próbowali ją utrzymać, tę placówkę. Ale ponieważ Niemcy wiedzieli, że zrzuć będą na terenie od wału do ulicy Kamedułów, starali się za wszelką cenę odbić tę Błaszankę, a my wszystko widzieliśmy, bo nasz dom stał prawie przy ulicy Kamedułów. Z okien mogliśmy to obserwować. Jak oni się starali utrzymać łączność między Cytadelą a tą Błaszanką. I dzień w dzień tam ciągle jeździły motocykle, czasem samochody jakieś tam wojskowe, osobowe przeważnie. Potem jakieś łaziki takie otwarte z odkrytymi tyłami, ale co dzień kursowali i tę łączność tam trzymali, i od razu z tych Kamedułów był ostrzał. Czasem nawet przyjeżdżał taki samochód z karabinem maszynowym i strzelali. Ja też miałam doświadczenie właśnie z takiego czegoś, strzelali po prostu tak ogniem na ten Marymont, żeby ludzi zastraszyć. Ludność Marymontu siedziała w piwnicach, tak jak to było na Śródmieściu, albo wykopywali sobie, tak zwane schrony w ogródkach. Schrony, bo to były jamy, to były małe pomieszczenia. Chodziło o to tylko, żeby się skryć. I wtedy... Chodziło mi o to, żeby opowiedzieć dwie historie. W sprawie Powstania na Marymoncie. Pierwsza to tragedia, jaka się właśnie rozegrała pod Błaszanką. Był spokój, taki względny spokój do września. Przez cały sierpień to tam nawet wyskakiwaliśmy, organizowało się... Działki mieliśmy, organizowało się jakieś sprzęty, bo to już były i pomidory, i kartofle na działkach,

więc staraliśmy się z tych działek coś tam sobie do jedzenia przynosić, ale tu jest właśnie dobry moment, żeby opowiedzieć najpierw nie o Blaszanca, tylko jak zaczynam o tych działkach. Proszę pana, jeździły takie patrole niemieckie, a działki były tuż za ulicą Kamedułów i na tych działkach, żeby nie kradli, bo przecież każdy był głodny, kradli z tych działek. Moja koleżanka nazywała się Danusia Folga. Folga. Pilnowała w takim szafasie skleconym tych działek. Jakiejś tam działki. Czy to była jej działka, czy to była sąsiada, nie wiem. Ale tak było, że na noc chodzili ludzie i sobie pilnowali, żeby bronić tego swojego mienia. I proszę pana, jakiś Niemiec, bo widziałam to na własne oczy właśnie z okna, a wiedziałam, że Danusia tam na tej działce w tej chwili jest. Proszę pana, zatrzymał motor z takim koszem pustym, nie było drugiego, tylko on jechał w czarnym jakimś, czyli Gestapo, prawda? W czarnym mundurze był. W czarnym mundurze. W bryczesach takich. Wysiadł z tego motoru. Widocznie on zauważył, jak tam się wychyliła, czy wstała. I proszę pana, wyjął z kabury taki mały pistolecik. Nie wiem, jaki najmniejszy kaliber miało wojsko niemieckie. Mały pistolet. Bo potem widziałam ślady na jej rękach, na czole. I proszę pana, zostawił ten motor tu przy brzegu tej działki i od razu wyszedł z tym pistoletem. Jak on wyszedł, to ona wstała. Jak doszedł tam blisko niej, ona zerwała się i stanęła. On bez słów, nie wiem, czy tam zamienili jakieś słowo, czy co, zaczął od razu strzelać. Dziewczyna się zakrywała. Tyle miała lat, co ja. Moja koleżanka ze szkoły. Zakrywała się tak. Upadła, to jeszcze tam ze dwa razy strzelił do niej, wsiadł sobie na motor i pojechał. Ja narobiłam krzyku, przylecieliśmy z sąsiadami i ona żyła jeszcze. Proszę pana, nie wiem, co to był. Malusieńkie, o, takie były. Takie jak te moje dziurki. W dłoniach i tu w czole. Kilka. Kilka. I ona leżała całą noc, jęczała, charczała, umierała, konała. Na naszych oczach. Całą noc przy niej siedzieliśmy. Jakiejś tam kwiatki zerwaliśmy, jakieś coś. No, tragedia, wielki płacz i tragedia. Tak zginęła moja koleżanka z rąk gestapowca, który miał za zadanie tylko jeździć i utrzymywać, pokazać, że oni tam są. Że oni tam są. Tak się to dla Danusi Folgówny skończyło w 14. roku życia. Drugie to Blaszanca. W połowie września, nie wiem, to był 15., bo nas 18 września wyrzucili z Marymontu, ale to było parę dni wcześniej. Gdzieś muszę zatrzymać to... 15 gdzieś września na tej ulicy Kamedułów pojawił się samochód z taką szczekaczką i po polsku, naturalnie z akcentem niemieckim takim, komunikat się rozległ: „Wszyscy mieszkańcy Marymontu wezwani są jutro na godzinę od 8:00 do 10:00 do stawienia się pod fabrykę Śmigieł”, chyba to wtedy nazywali. Myśmy to nazywali zawsze Blaszanca, tę fabrykę. „Pod fabrykę Śmigieł. Jeżeli się ktoś nie stawi...” tak był sformułowany ten komunikat, „będzie zastrzelony na miejscu”, jeżeli się tam nie stawi. Ludzi było tam kupa. Powychodziliśmy z tych piwnic, jakieś sejmiki, tam każdy się z sąsiadem próbował porozumieć, co zrobić, co robić. Wychodzić, nie wychodzić. I wtedy się podzielili ludzie. Jedni się zdecydowali wyjść, my nie. My nie. A chcę powiedzieć, że wtedy ojca z nami nie było, bo mój ojciec przed tym właśnie, gdzie już ten Marymont był otoczony przed... Bo Marymont już był wtedy otoczony przez własowców. Wtedy, jak oni puścili ten komunikat. To już było wiadomo, że Marymont ulegnie likwidacji. A mój ojciec miał rodzinę, miał znajomych i wyszedł spotkać się z rodziną na Żoliborz, lada chwila miał przyjść. Lada chwila. Ja pamiętam, że poleciałam jeszcze na Barszczewską ulicę dowiedzieć się, czy ojciec wrócił. Ojciec jeszcze nie wrócił i ja się tam zatrzymałam na tej Barszczewskiej, wie pan, dlaczego? Bo ciotka placki piekła, a ja byłam głodna i chciałam tego placka jeszcze skosztować. Ona mówi: „Poczekaj chwilę, to placka dostaniesz”. I jak ja wybiegłam już z tego domu, to stał, chyba to był nawet taki lekki czołg. Tam był krzyż na rogu Kamedułów i Kołobrzeskiej ulicy. I przy tym krzyżu stał ten czołg, i walił, proszę pana, tak ogniem prosto. Ja stałam i nie mogłam przeskoczyć. O mały figiel, to ja bym też została tam rozstrzelana albo odłączona od rodziców. I proszę pana, stałam i nie wiedziałam, co ja mam zrobić. Strzelali, bez przerwy strzelali. A ja stałam i czekałam. I doczekałam się, chwila była przerwy. Ja pamiętam, taką spódnicę miałam układaną, szkolną, to ta spódnica tylko furknęła mi, jakoś przebiegłam. Mama mówi: „Już myślałam,

że się nie zobaczymy". I my postanowiliśmy zostać, schować się gdzieś. Wiedzieliśmy, że jest tam taka kryjówka w ogrodzie. Tak zamaskowana, że my byśmy tam z głodu umarli. Niemcy by nas ani nikt nie znaleźli. Ale część, i teraz mówię o tej części, która zdecydowała się wyjść, bo z nimi był mój wuj, Jan Sołtys, właśnie o tym chcę powiedzieć. Jan Sołtys. Mój syn brał od was z IPN-u jego dokumenty, bo właśnie spod tej Blaszanki trafił do Auschwitz. Nie wrócił już z tego obozu. I mój wuj z żoną i z dwuletnią córeczką na rękę, jeżeli taka jest szansa, że tam ocalejemy, a tu nas zabiją, to idziemy. Tak część ludzi rozumowała, prawda? I poszli, tylko wyszli wcześniej. Natomiast nasza sąsiadka, pani Szwed, proszę pana, co to było za piękne małżeństwo, naprawdę. On wysoki, blondyn, taki, wie pan, ona piękna kobieta, z kolei czarnula. To była naprawdę kochająca się rodzina. Też z małym dzieckiem, z synkiem z kolei na rękę. I ci Szwedowie mówią: „My wychodzimy”. My: „Jeszcze nie wychodźcie, zostańcie”, wszyscy im radzili, żeby nie wychodzili. Oni nie, wychodzą. Ale naradzali się za późno i wyszli w pół do dziesiątej może. A tam nie było, tam mogli dojść śmiało przez pół godziny. Od tego momentu, gdzie wyszli, od tej ulicy Kołobrzeskiej. Ale Niemcy naturalnie zrobili niespodziankę i zaczęli strzelać wcześniej. Nie dotrzymali tego terminu 10:00 godzina. I proszę pana, za jakieś 20 minut widzimy, biegnie pani Szwed. Tu już się rozpłaczę, wiem, bo jak ja sama myślę o tym, to płaczę. Jak ja sama sobie to przypominam. Pani Szwed biegnie z tym dzieckiem na rękę, nieprzytomna. To dziecko jest, proszę pana... Ona we włosach tych czarnych kawałki tkanki ludzkiej, mózgu, jakiegoś tam czegoś, to dziecko tak samo, opryskane tym wszystkim. Złapaliśmy to dziecko najpierw, żeby ją od tego... Bo dziecko tragicznie, żyło, ale ojca trafili, jak próbował osłonić tę rodzinę. Zabili go tam. Ona wróciła z tym dzieckiem. A tamtych, którzy dotarli na czas, od razu do Pruszkowa tak samo i tam selekcja natychmiast. I mój wuj młody, z 1906 roku. Miał 38 lat wtedy. Młody, zdrowy, silny człowiek. Nie przetrwał czterech miesięcy. Znaczący przetrwał, bo z tego Auschwitz wzięli go w czasie tych czterech miesięcy do Flossenburga. Flossenburg. Był taki jeszcze obóz. Tam go wzięli. Z Flossenburga. Tam go chyba wyzwolili i do Teresina na terenie Czech. I tam umarł. Jak już został obóz wyzwolony. Umarł. Proszę pana, my nie wiemy nawet, gdzie jest pochowany. Robiliśmy symboliczny grób na Powązkach, bo tam babcia, jego matka jest pochowana, ale nie wiemy. W ciągu czterech miesięcy. Nie przeżył. Przyszedł jego kolega jeden, który był razem z nim i który przeżył, to mówi, że wuj był jak Muzułmanin. Była nawet taka kategoria ludzi zmułmanionych, prawda? W obozach. Że nawet gdyby... Nie miał szans przeżyć, już tak był organizm wyniszczony. I jak to się dzieje, że jedni przeżywają parę lat, a inni... Nie wiem, psychika chyba, czy niezdolność kombinowania. Nie wiem, co to było. W każdym razie zostawił żonę, dziecko dwuletnie. Czy im się nie należy odszkodowanie? Ja się pytam. Myśmy się ja szczury pochowali. Myśmy znaleźli sobie kryjówkę. Wiedzieliśmy, że naprzeciwko naszego domu, dlatego widziałam, jak własowcy zapalali nasz dom. Była wykopana... Nasz sąsiad, pan Pruszyński wykopał sobie dwa schrony. Dwa. Jeden on zajął, a my wiedzieliśmy, i on powiedział do nas: „Panie Kacprzak, jeżeli będziecie w potrzebie, jeżeli będziecie potrzebowali, to proszę, ja wam pokażę gdzie, jak to jest zamaskowane”. A on miał warsztat, frezarnię taką. Mechaniczna obróbka metali. I tych wiórów od metali to całe góry leżały. I on tak sprytnie to urządził, że te wióry były oparte o ścianę domu, a pod tymi wiórami było wejście do, tylko trzeba było wiedzieć, którędy tam się wchodzi, do tego schronu, a on poszedł do tego, który miał być, że tak powiem, solidniejszy i lepiej zamaskowany. Jeszcze lepiej. I myśmy się znaleźli z sąsiadkami. Było nas trzy i trzy. Trzy i trzy, osiem osób. Osiem osób. Mama z nami dwojgiem, pan Świetlicki z panią Świetlicką i mój kolega w moim wieku, to też było źle, bo trzy dni siedzieliśmy z możliwością, wie pan, wypróżnienia się czy czegoś, a to była taka, że ledwo się osiem osób się zmieściło. Nie było możliwości, żeby tam te swoje potrzeby załatwić. Tym bardziej, jak byli mężczyźni i kobiety, prawda? I pani z córką, taką Danusią. Ona była młodsza od nas. I my, proszę pana, osiem osób siedzieliśmy, a wie-

dzieliśmy, że właścicielka tego domu siedzi obok, nie wiedzieliśmy gdzie, w schronie też na terenie tej posesji. Inni pochowali się gdzie indziej, w jakieś tam dziury powchodzili ludzie. Dlaczego? Bo ruscy już byli. Już latali nad nami tak nisko, że myśmy widzieli te samoloty rosyjskie. Za Wisłą mieliśmy Rosjan. Myśmy już czuli się tak, nie chcieliśmy stamtąd wychodzić, bo my czuliśmy, że ci ruscy muszą przyjść. Muszą lada chwila przyjść. Stało się, jak się stało. Myśmy czekali na nich, nie doczekali. I proszę pana, spróbowaliśmy... Aha, pierwszej nocy usłyszeliśmy nad nami język ukraiński. Już łazili tam, już wie pan, klęli, kopali w coś. I koza tam chodziła. Koza meczała, bo ktoś tam wypuścił kozę. Nie wiem, czy niedojona, czy tego. I oni z tą kozą tam się, wiesz, słyszeliśmy ukraiński język. Pan Świetlicki, on był kolejarzem, dosyć był taki oblatany człowiek, ale był ranny tu. Był bardzo ranny i on cały czas tylko jęczał i tę ranę też musieliśmy tam mu trochę pomagać, żeby coś tam opatrzyć. W każdym razie myśmy próbowali jednego dnia wyjść stamtąd. Nie udało się, bo zaczęły chrzęścić te, wie pan, te wióry metalowe. To jednego dnia. Drugiego dnia siedzimy, ale na trzeci dzień mówimy, no, nie, już musimy, bo moja mama aż temperatury dostała, bo się nie załatwiała. Temperatury. Dzieci to, wie pan, tam chłopaki to się odwrócili do ściany, jakoś tam sobie radzili. I proszę pana, trzeciego dnia słyszymy wieczorem... Żonę pana Pruszyńskiego była Ukrainka, pani Bierzanowa nazywała się. Ukrainka. Myśmy wiedzieli, że ona jest Ukrainką, ale czuła się Polką. Myśmy ją uważali za Polkę. Ale tam się poczuła Ukrainką, jak usłyszała, wie pan, rozmowy. Nachyliła się, przyszła do nas i mówi tak: „Słuchajcie...”, wieczorem późno, że się odważyła przyjść, prawda? „Słuchajcie, tu na całym terenie są teraz Ukraińcy. Powiedzieli, że cały Marymont jest zaminowany. Będą to wszystko wysadzać”. Ale co wysadzać? Jak tam już domy drewniane są popalone. Niech pan... Ja teraz wiem, że to myśmy powinni rozumować trzeźwo, a myśmy byli zastraszeni i nie wiedzieli, co się w ogóle z nami może stać. My wychodzimy. Nas przekonali ci Ukraińcy, żeby wychodzić, wy jak chcecie. Jeszcze weszło jakieś tam, bo ona tam miała swój taki kosz do bielizny, miała swoje rzeczy, wzięła jakiś płaszcz, jakieś coś wyjęła, mówi: „My wychodzimy. Rano powiedzieli, że możemy wyjść, a jeżeli wiedzą, że tu ktoś jest, żeby zawiadomić, żeby tu będzie Marymont cały zlikwidowany. My wychodzimy, my się poddajemy, a wy jak chcecie”. Więc my też, co robić, co robić? Wychodzić, wierzyć tej Bierzanowej czy nie wierzyć? Wyszliśmy. Wyszliśmy. A ona jednak nie powiedziała, że my tam jesteśmy, to na tyle była... Jak myśmy wyszli, osiem osób wylazło z tego. Trzy dni było po tym, po tej likwidacji Marymontu. Już Marymontu ludzi nie było. Jak zobaczyli osiem osób, to a job twoja mać szto, że nam tu, po co im jeszcze ten kłopot, prawda? Wyraźnie dawali do zrozumienia, że my jesteśmy dla nich kłopotem i tak się zachowywali, żeby ten kłopot szybko zlikwidować. Bierzanowa do nas doszła i już Bierzanowa widzi, że coś nie idzie tak, jak oni... I proszę pana, dwa kroki za nami była taka czarna droga, zaraz Kamedułów ulica. I ta czarna droga była tak usypana z takiego czarnego żwiru, a tu była łąka, łąka. I oni nas... I jeszcze, proszę pana, matka, też kłopot niespodziewany, matka z dzieckiem w wózku. I było tak: matka z dzieckiem, wózek był z jednej strony tego, w szereg nas uformowali, z jednej strony wózek z tym dzieckiem, to razem dziesięć osób, bo nas osiem i ta matka z dzieckiem. I mój brat, jako taki też mały, bo on 12 lat miał wtedy. Na drugim końcu ustawili nas, nie wiemy, co się dzieje. Przychodzą, proszę pana, z tym trójnogiem, stawiają obok nas trójnog, tę taśmę do karabinu maszynowego, ładują się kładzie Ukrainiec, kałmuki takie. A Bierzanowa jak się zorientowała i zobaczyła Niemca. Tam gdzieś w pobliżu Niemiec jej się pojawił, więc Niemcy też byli, bo oni tym wszystkim zarządzali, prawda? Tą likwidacją Marymontu. I Bierzanowa już przeszła nie na ukraiński, tylko na niemiecki. „Ich bin Ukrainen, ich bin Ukrainen”, krzyczy w niebogłosość. Ten Niemiec tam coś patrzy, ci Ukraińcy do niej wulgarnym słowem, najwulgarniejszym, a ja rozumiałam po rusku. Dlatego, że byłam w Tokarach, w okupację chyba rok i przychodzili do nas Rosjanie, którzy mieli kryjówkę, uciekli z Majdanka. A Tokary nad Bugiem, koło Drohiczyna to było. I oni przychodzili do nas, był

to Siergiej, ten weterynarz, leczył chłopom zwierzęta na wsi i dostawał za to, żyło im się bardzo dobrze za to leczenie. To był lekarz weterynarii. I oni mnie zaczęli, jak przychodzili, tam do nas czasem weszli po tych swoich, jak on już obszedł tych, bo ich, nie wiem, skąd oni musieli mieć jakąś łączność, bo on wiedział do jakiego, myśmy przecież tam nie mieli żadnego inwentarza, nic. Tylko na letniakach byliśmy, na letnisku. I jak on wiedział, do kogo ma iść, to szedł, leczył i dostawał za to jajka, masło. I ja trochę się po rosyjsku, jestem zresztą trochę tak, wie pan, umiem, lubię się uczyć, umiem trochę. A on do niej mówi: „[niezrozumiałe, 00:24:47], ty taka, nie taka. My to że Ukraińcy, a my użę od Berlinanazad wiernulis”, rozumie pan? My też Ukraińcy, ale my tu się jak bandyci nie chowamy, tylko my już byliśmy pod Berlinem i wróciliśmy. I [niezrozumiałe, 00:25:10]. Straszny krzyk się zrobił wtedy, bo już wiedzieliśmy, że nie przelewki. I proszę pana, paradoks, muszę panu powiedzieć. Uratował nas właśnie ten Niemiec, który tam z daleka słyszał to. To już było 18 chyba września. Tak nad nami, jak tam staliśmy, to już tak latali, bezchmurne niebo, piękna pogoda te ruskie samoloty, że oni chyba już się też bali. Oni się też bali. Bo przyszedł ten Niemiec i zaczął krzyczeć do tych Ukraińców, i wie pan, co zrobić? Pogłaskał mojego brata po głowie, to już wiedziałam, że żyjemy. To już wtedy wiedziałam, że żyjemy. Bo przed śmiercią się nie głaszcze, prawda? No. No. Patrzyłam śmierci w oczy. Tak, o sobie, to mogę mówić, nie będę się już trzęsła, bo tamte, pan wie, jaka to jest trauma, jak się przeżyje takie rzeczy? Jaka to jest trauma, jak się takie Powstanie przeżyje. Jak człowiek, jak szczur zagoniony gdzieś w ten. A, a dzięki tym Pruszyńskim, że mieli tamte swoje rzeczy, to myśmy w takiej bańce na mleko, takie jak były przed wojną, bańki takie blaszane. Myśmy znaleźli, proszę pana, bo myśmy tam właśnie blisko tego kosza siedzieli we troje na jednym koszu, bo nie było innego miejsca tam w ogóle. Znaleźliśmy parę jabłek i taki kawałek kiełbasy suszonej. Jak myśmy to zobaczyli, matka od razu, osiem osób nas było. Taki kawałeczek był tej kiełbasy. Tu już się, wie pan, taka właśnie wilcza już natura człowieka odezwała. Matka od razu... Matka za swoimi wilczętami, prawda? „Cicho!” Od razu nam tylko powiedziała: „Cicho!”. Myśmy tylko na tę bańkę patrzyli, aż się zrobiła noc i dosłownie po takim, to był taki kawałek kiełbasy, tak leżał na dnie tej bańki, a jaka jest średnica tego dna tej bańki? To taki zucheleczonek tej kiełbasy. Tylko tyle, że i te dwa jabłka zjadłam przez trzy dni, proszę pana. Tyle. O sobie. Proszę pana. Jak skończyła się wojna, wywieziono nas po Powstaniu do Suchedniowa. Do Suchedniowa. Bez środków do życia, bez niczego. Po prostu tak jak staliśmy, dali nam Niemcy kwaterę. Tak zwaną kwaterę. Były tam prycze zbite z desek. Prycze normalne. Jedną pryczę na nas troje dostaliśmy i tam mi się przydała znajomość języka rosyjskiego, jak weszli ruscy potem. Bo ja od razu... Aha, bo mój wujek bimber nastawił, co był ze mną tam. Myśmy się spotkali i potem z babcią. Już w trakcie formowania tego konwoju do Suchedniowa. Jak nas wywalili już, a wywalili dzięki mojemu bratu, bo nas chcieli, najpierw nach Breslau. Nach Breslau, wie pan, Breslau - Wrocław. Najpierw nach Breslau, bo ja już miałam 14 lat, już się do pracy nadawałam, ale mama... Mama była zaradna też kobieta. Mój brat miał chore kolano. Ono mu się źle goiło, miał dreny tu założone. Myśmy brata ze szpitala Świętego Ducha tuż przed bombardowaniem zabrali. Leżał w szpitalu Świętego Ducha właśnie na to kolano. I moja mama mówi do brata: „Drap”. Tylko tyle powiedziała: „Drap”. I on zaczął to swoje... Ono zawsze się tam mu gnoiło, tam mu się zawsze ropiało i on zaczął drapać. Tak ratowaliśmy się, proszę pana. Mama wzięła brata na plecy, to kolano wystawił, z tego kolana zaczęła krew zaraz tego, bo to bardzo zniekształcone było kolano. O i na Breslau, i mama zaczęła krzyczeć: „Lekarza, lekarza!”. Przyszedł lekarz, a mama mówi: „Jak wy sobie... Z takim chorym, inwalidą dzieckiem mnie do Niemiec na roboty? Jak to ma wyglądać?” I oni wszystko już potem, już nie chcieli się na to kolano, na tę nogę brata patrzeć. Tak ocaleliśmy od tego i wylądowaliśmy w Suchedniowie. I tam się spotkaliśmy właśnie z tymi ludźmi, którzy w Powstaniu zostali, nie poszli pod Blaszkę. Tam była moja babcia, moja chrzestna ciotka, moja ciotka, moja chrzestna, był pan Niewiadomski.

Przyplątał się pan, samotny, osiemdziesięcioletni człowiek. W carskiej gwardii służył. Proszę pana, co to za figura była, naprawdę. Bardzo inteligentny. Umiał po rosyjsku. Ja się chciałam uczyć, on mnie uczył liter, pisać. I proszę pana, jak Niemcy weszli, jak Niemcy odeszli, jak oni odchodzili, ale jak weszli, to dowiedzieli się, bimbru szukali: „Vodka, vodka, vodka”. Tylko szukali wódki i dziewczuszki. Dziewuszki. Myśmy przecież z ciotkami takimi młodszymi, to pod słomą spali na strychach. Nie mieliśmy odwagi tutaj. A ktoś tam powiedział: „Tam na górze, zdaje się, bimber pędzi”. Mój wujek nastawił sobie bimber w takiej alkoWie też. I ten bimber nie był gotów, ale oni się, wie pan, po ten bimber zgłosili. I ja naturalnie: „Wy umiecie paruski, ja umieju paruskie”. Ja im mówię, czternastoletnia dziewczyna. Chciałam się pochwalić. Wybawiciele przyszli, prawda? A on napisał słowo jedno na kartce, pokazał mi: „A eto, ty znajesz?”, a tam wie pan, jedno słowo na „ch” było po rusku napisane. Pan sobie wyobraża, co za kultura? Dziewczynie, widział, że dziecko ma przed sobą. „Jak umiesz, to czytaj. Umiesz? No”. Takie mam doświadczenia też ze spotkań. O sobie. Nie dojdę do... Ale szybciotko. Jak wróciliśmy, zamieszkaliśmy u tego wuja, gdzie na Marymoncie-Potok stoi ta kamienica jako administracja tego całego osiedla Potok. Tam się zadomowiliśmy i mój wuj Ksawery Nalewajko bardzo naciskał na to, żeby ja jak najszybciej zaczęła się uczyć, bo miałam dwa lata przerwy. Na piątej klasie skończyłam edukację, w okupację, bo wyjechaliśmy właśnie na wieś tam, bo tam łatwiej żyć, moja mama tam urodzona była. Moja mama pochodziła tam z Tokar. I proszę pana, wujek naciskał: „Wiesia, weź się, weź się”, ale ja nie mogłam się uczyć. Wie pan co, powiem panu tak, zapisałam się do takiej wieczorowej szkoły, przerwę miałam dwa lata, chodziłam niby na korepetycje. To mi coś nie wychodziło. Z matematyką miałam bardzo dużo kłopotów, a wujko mówi: „Wiesz co, nie, to trzeba co innego” i dowiedziałam się, że jest taki dom, bo pojechał tam mój kolega i napisał do mnie, mówi: „Wieśka, jak nie masz co ze sobą zrobić, jest tu taki dom w Karpaczu, Orliny”. Pan wie, gdzie to jest? Tak, za skocznią. Tam, gdzie jest skocznia, to jeszcze trochę wyżej na tej polanie przy skoczni tam. Mówi: „Tu przyjeżdżają dzieci, które chcą się uczyć”. Mój brat tam był, ale on się nie chciał uczyć i go naturalnie, jak dwójce zaczął dostawać, to go wyrzucili. Ja się dobrze zaczęłam. Akurat trafiłam, wie pan, zaczęłam się bardzo dobrze uczyć i tam zdałam małą maturę w tym Karpaczu. Po tym nie wiadomo było, co z tym domem zrobić, bo trzeba było gdzieś dzieci ponad gimnazjum. Tam nie było nic w Karpaczu, tylko gimnazjum. A jak pokonczyliśmy gimnazjum, to trzeba było... Oni jakoś próbowali, bo to było TPD. TPD. Pan ten Tułodziecki przyjeżdżał, Skrzyszewski, minister, pamiętam, do nas przyjeżdżał, Lewin. Zna pan to nazwisko? Lewin przyjeżdżał do tego domu. To było, proszę pana... A, o tym domu. Dyrektorem był tam najpierw Dawidowicz. Wojak. On szedł z tą armią Wojska Polskiego, ale ponieważ już był trochę stary i słaby już był, już lata mu nie pozwoliły, to go dali tam na dyrektora. Potem wzięli nauczyciela, który był bardzo długo, Bielasik Feliks. To był dobry pedagog. I on nas wyprowadził. On, że tak powiem, ale miał tę skazę, że był z Armii Andersa. Z Armii Andersa, wie pan. Chłop chciał pracować, dwoił się i troił, i niestety miałam pretensję, i to powiedziałam na jego pogrzebie, bo ja zawsze mówię, co wiem. Miał ten, wie pan, konformizm. Nawet za cenę, wie pan, tego, co się czuje, robić tak, żeby... Raz, że my na tym korzystaliśmy, bo mieliśmy dobrego pedagoga, dobrego nauczyciela, ale z drugiej strony jak miałam zdawać maturę tam w Bielsku, bo przenieśli nas do Bielska. Z Karpacza przenieśli nas do Bielska. Miałam zdawać maturę, to wie pan, co on zrobił? Pewnego razu dowiedzieliśmy się, że wszyscy maturzyści są członkami partii. „Bo wam będzie łatwiej na studia, bo wam będzie łatwiej na studia zdać”. Ja wcale nie chodziłam, ja się nie ubiegałam, bo przecież można wszystko sprawdzić, bo to, co ja mówię, to na to są dokumenty, tak? Członków się... Były tam osoby, które może by i same wstąpiły, bo wiem, miałam kilku takich przyjaciół, ale były osoby, które cały czas walczyły, żeby chodzić do kościoła na mszę. Nie pozwalano, przecież to był 1946-1947 rok. Nie pozwalano po prostu. I Bielasik, dla naszego dobra. Dlaczego mówię

o tym? Bo, proszę pana, jak zdawałam maturę... Dawniej były tak zwane czynniki społeczne na maturze. Pan wie, co to jest? Przychodził z partii, z komitetu, jedna osoba albo dwie, przysłuchiwali się i narybek. Narybek tam... Ja miałam to nieszczęście, że dostałam temat WKPB, to wiadomo było, że trzeba się tego wykuć na maturę, bo inaczej to przepadniesz, jak nie będziesz wiedział. I mnie jeszcze na dodatek zapytali o Plechanowa, z czego się tak wykułam, na blachę po prostu i tak się zachwycili, że proszę pana, ja... To jest ciekawe, co ja mówię, bo ja sama się teraz dziwię, bo moje życie to czasem się z takich nieprawdopodobnych rzeczy składa. Tak to się splątało razem, że ja dostałam nakaz pracy. W 1951 roku wszyscy po maturze, szczególnie to była szkoła przemysłowa, to była bardzo dobra szkoła. Państwowa Szkoła Przemysłowa w Bielsku-Białej. Tam były takie półwyższe raczej już. Uczyli profesorowie z Sorbony. Ja miałam bardzo dobrych. Tak samo i w Karpaczu miałam przedwojennych. Ja się w gimnazjum uczyłam łaciny i angielskiego, oprócz rosyjskiego. Łaciny pan Kotarbiński uczył. Ja mowę Cycerona: „Quousque tandem, Catilina, patientia nostra?”, to ja jeszcze do dziś umiem. I łaciny, i angielskiego miałam dobre podstawy. I proszę pana, tak samo w tej szkole miałam dobre podstawy. Profesorowie. Ja chemiczny kończyłam tam. Chemiczny wydział. Jestem technik chemik farbiarski. Tak to się nazywało. I proszę pana, ten czynnik społeczny zapisał sobie moje nazwisko w notesiku. Tak się po tym dowiedziałam, bo jak poszłam wyjaśniać, do szkoły poszłam wyjaśniać, bo miałam nakaz pracy też jako taka pewna, wie pan, partyjna, do Nowej Soli do Zbrojeniówki. Bo tam też nie każdy zasługiwał na to, żeby mieć przydział. Do laboratorium jako chemik miałam przydział do Nowej Soli do Zbrojeniówki. Trzy lata miałabym tam odbębnić. I nagle, proszę pana, za jakiś czas już po maturze, już się szykujemy do domu, ja słyszę: „Nie jedziesz do Nowej Soli, idź do dyrektora do Przemysłówki. Tam wszystko masz, papiery tam twoje są i tam załatwisz”. Poszłam do Przemysłówki do tego dyrektora i mówię: „Jak to?”. Chociaż z bólem serca, bo miałem matkę w Warszawie, a mnie do Nowej Soli. A oni mówią mi: „Nie jedziesz do Nowej soli, jedziesz do Warszawy”. Niech pan słucha teraz. „- Jak to do Warszawy? Ja technik chemik farbiarski. - Tak. Jedziesz do Zarządu Głównego ZMP na trzy lata”. Ja trzy lata nakazu pracy pracowałam w Zarządzie Głównym ZMP. I ani chwili dłużej. Bo w międzyczasie zaszłam w ciążę. Oni mnie nie chcieli zwolnić. Oni jeszcze chcieli mnie tam potrzymać. Zaszłam w ciążę, skorzystałam z urlopu macierzyńskiego, po tym zaszłam natychmiast. Moje dzieci są rok po roku urodzone. Tamte dzieci w tym ZMP. Miałam bardzo dobry urlop macierzyński. Potem jeszcze mi chcieli przedłużyć. Powiedziałam: „Nie. Nakaz pracy to nakaz pracy”, prawda? Czy pan słyszał o czymś takim, że nakaz pracy... Na nakaz pracy biorą do aparatu? Bardzo się ucieszyłam. Bardzo. No, gdzie do Nowej Soli, nikogo nie znam, do fabryki. A tu do tego. Ale niestety, proszę pana, to nie była dla mnie robota. To była robota tak ciężka, bo mnie od razu wzięli na inny... W moim wydziale Tejchma pracował, późniejszy minister kultury. Ja z nimi naprawdę straciłam kontakt od razu po wyjściu stamtąd. Nie chciałam. Po prostu ja nie wiem, ja czułam się tam niedobrze, niedobrze. Nie miałam nigdy z nimi kontaktu. Mało tego, jak kiedyś szłam na Krakowskim Przedmieściu, jakieś tam mieli namioty, coś tam, to ja męża odciągnęłam: „-Nie, nie, chodź tu, chodź dalej. -Co nie chcesz iść? Chodź”. Ciągnął mnie, bo chciał zobaczyć, a ja nawet nie chciałam, nie chciałam po prostu odnowić tych znajomości. I proszę pana, jak skończyłam... Aha, jaką robotę miałam. Instruktor. Instruktor. To znaczy miałam teren Chojnice, Barlinek. Wie pan, to zadupie. Przecież tam mało nie zostałam zgwałcona przez ruskich żołnierzy. Tam koło tych Chojnic. Jadaliśmy w jakiejś stołówce, oni tam przychodzili z tymi dziewczuchami swoimi w tych kiecuszkach takich, wie pan, tych co drogówki te takie ruskie. Ale one mnie wybroniły, wie pan, te ruskie drogówki. Bo tam pojechałam właśnie na robotę taką do Zarządu. Fajny taki chłopak był młody, przyjemny. Ten facet, który tam mnie wprowadzał. Chodziło o szkoły zawodowe. Ja byłam instruktorem szkół zawodowych. Zawodowych. Polegało to na tym, że jeździłam, zbierałam informacje, czy tam coś się udaje, czy

się nie udaje, jakie trudności mają. Wie pan, to była straszna praca. To była praca nie dla dziewczyny wrażliwej. Jak poszłam do jednego hotelu, to musiałam najpierw, zanim poszłam spać, to musiałam prześcieradło zdjąć, bo było sztywne. W takich hotelach. Ja, instruktor Zarządu Głównego musiałam tak się mordować. Tak że to nie było, ja z tego powodu jakby, o, i jeszcze pensja była 840 złotych. Nie wiem już teraz, ile to było, ale zarabiałam tam 840 złotych w tym, tym. I skorzystałam z tego, że byłam płodna. Raz zaszłam w ciążę, potem poprawiłam jeszcze i... Nie powiem złego słowa, bo jako koleżdy w biurze, no, to... Ale też były takie, wie pan.

Tomasz Sikorski: Do którego roku tam pani pracowała?

Wiesława Łapacz: Do 1953 roku, zgodnie z...

Tomasz Sikorski: Nakazem.

Wiesława Łapacz: nakazem pracy. Ale ja ciekawa jestem, bo przecież tam muszą być jakieś ich archiwum. To jest na pewno.

Tomasz Sikorski: A śmierć Stalina panią zastała jeszcze tam? Czy już...

Wiesława Łapacz: Słucham?

Tomasz Sikorski: Śmierć Stalina panią zastała tam, czy później była?

Wiesława Łapacz: Tam, tam, tam. Bo, proszę pana, pamiętam, bo już byłam dziewiąty miesiąc w ciąży, bo to był marzec, a mój syn pierwszy się w marcu urodził, to ja z Mokotowskiej na Płocką musiałam pieszo dryndać, bo przecież tramwaje zatrzymali. Taka była żałoba, że tramwaje zatrzymali. To mnie tam, tam. Ja stamtąd poszłam na urlop macierzyński. I tak się zdarzyło, że zaraz bardzo szybko, mój jeden syn od drugiego jest rok i dwa miesiące tylko starszy.

Tomasz Sikorski: A po odchowaniu synów pani pracowała?

Wiesława Łapacz: Po odchowaniu synów spotkał mnie, proszę pana, nie pracowałam, spotkał mnie, już pracowałam w KC mój jeden kolega, ale właśnie z Orlinka. Ten, który był... Huk Jerzy, który był wiceministrem. Ale najpierw to pracował w tym, no, najpierw pracował w KC, zanim został wiceministrem. Spotkał mnie na... Pracowałam, wie pan, jako księgowka. Mam dokument. Poszłam, zrobiłam sobie kurs księgowości, bo w chemii nie mogłam ze względu na zdrowie. Ja mam coś, wie pan, z drogami oddechowymi, a tam wie pan, ćwiczenia różne. To wszystko się robiło kiedyś w tych, wie pan, takim sposobem chałupniczym wszystko, ręcznym. Nie mogłam w chemii pracować. I zrobiłam kurs księgowości, i szłam do urzędu pracy, i brałam pracę. To mój syn ma do mnie pretensje. „Ty nic nigdy nie umiałaś sobie załatwić i nam nie umiałaś”. Tak, nie umiałam i z tego jestem dumna, że ja nie umiałam. To mnie z KC mój kolega taki, że nawet z nim kiedyś, to tam trochę, wie pan, chodziliśmy, że tak powiem, na spacer. Na spacer. „- Wieśka, to co tam z tobą się dzieje? Może załatwię ci robotę? - Nie dziękuję, wszystko sobie sama załatwiam”.

Taka była odpowiedź. To ja chyba głupia jestem, no głupia. Ale tak to bywa. I proszę pana, dalsza część. To już sprawę tego, tyle że mam w papierach trzy lata pracy. Tak, ja za Matwina przyszedłam. Jak był Matwin. A potem był jakiś inny już. Wtedy... Ociepka. O, o, o. Tak, ten, co zginął, pan wie, taka była samolotowa katastrofa tam gdzieś w Czechach. Ten Ociepka zginął w katastrofie samolotowej. Gdybym chciała, miałam dużo znajomości, bo teraz to wszystko są tak samo jak ja, stare, za przeproszeniem, dziady. To już nawet, wie pan, nawet bym nie miała chęci, bo teraz każdy z nas chory, cierpiący jakoś tam. Już nie ma sensu. Ale miałam ciekawe życie. Ciekawe życie i sama po prostu zrezygnowałam z pewnych rzeczy. A po tym, bo z pierwszym mężem rozeszłam się. To był też kolega, koleżeńskie małżeństwa się nie sprawdzają. I po tym, proszę pana, wyszłam właśnie za mąż za Janusza. To wtedy już nie musiałam nikogo prosić o nic. On mnie z partii wypisał szybko, bo wie pan co, Tomek właśnie się urodził w 1967 roku. Aha, ja z partii wystąpiłam w 1956 roku. Sama, na własne życzenie, jak w Poznaniu wiadome te były zajścia. Proszę pana, i po tym wzięłam sobie, jak już uwolniłam się stamtąd, po prostu powiedziałam, że nie, oddałam, poszłam legitymację na Podskarbińską, tu był ten. I po tym poszłam do pracy w Kampinoskim Parku Narodowym jako księgową, w Państwowych Lasach. I tam spotkałam właśnie drugiego męża. On był tam technikiem. Technikiem budowlanym. I proszę pana, mówię i tam od razu mnie też, a to zróbcie tę, jak to się nazywało, takie dzienne... Prasówka, o, o. „A, zróbcie prasówkę, wy to umiecie, zróbcie prasówkę, jedną prasówkę, a to, tam”, tak mnie zaczęli angażować do tych poza tego. I w końcu wybrali mnie na przewodniczącą rady zakładowej tam. I w końcu dyrektor mówi: „Wiedziecie co, przewodnicząca, ale tak by ładnie wyglądało, jak wy byście byli partyjna.” Ja mówię: „- Ja partyjna to już byłam. Ja już nie chcę być partyjna. - Co? Byliście partyjna? -Tak, byłam do 1956 roku i mam dosyć już tego. - Ale tu jesteście w związkach. Jesteście przewodniczącą rady zakładowej, to jak to i bezpartyjna będziecie, jak już byliście? -To był mój wybór”. Proszę pana, przyszli i mi wzięli legitymację. To było w Laskach, 1961 rok, a mój mąż mnie wypisał w 1967 roku.” Bo jak ja szłam na zebranie partyjne, to on musiał dziecko bawić. Powiedział: „Nie będę go bawił. Jak nie chcesz, to ja pójdę, cię wypiszę”. Ja potem powiedziałam, no, nie, już koniec z partią.